Nagrodzona cierpliwość

Miał już swoje lata, niedawno był skończył ich sześćdziesiąt trzy. Niektórzy by powiedzieli, że wcale słuszny wiek. I pewnie mieliby rację – teraz tak krótko się przecież żyje. Mimo coraz lepszej techniki, rozwiniętej medycyny i w ogóle świadomości tego, co nam może szkodzić, a co też działać na naszą korzyść, aby właśnie ten nasz żywot wydłużyć. Ale oprócz tych swoich lat miał jeszcze coś – tę jedną z najdoskonalszych ludzkich cech, dzięki której zawsze można o wiele więcej osiągnąć, jeżeli się ją posiada, mianowicie – cierpliwość. I można by nawet powiedzieć, że posiadł ją nawet w nadmiarze, albowiem był niespotykanie wręcz cierpliwy. A kto jest cierpliwy, ten w końcu kiedyś zostaje nagrodzony. Więc i on pewnego dnia również został. Nadszedł w końcu taki dzień, w którym i dla niego zaświeciło słońce!

– No, co z tobą?! – rzuciła zniecierpliwiona przedłużającym się w nieskończoność żałosnym dla niej spektaklem.

– Jeszcze tylko… mała chwilka, troszeczkę… tylko… – wystękał i na powrót zatracił się w świecie swoich niezdarnych ruchów.

– Pośpiesz się! – ponagliła. – Nie umawialiśmy się, że będzie to trwało wieczność.

– Przecież się staram! Prosiłem przecież tylko o jedną małą chwilkę… Chwileczkę ma... O! Już blisko… Nadchodzi!... Ou… – Popadał w coraz mniej kontrolowaną ekstazę.

– Będzie cię to kosztowało stówkę więcej. Nie będę robiła za matkę Tereskę z Kalkuty, czy za jakąś inną głupią naiwną.

Lecz tych ostatnich słów już nie słyszał. Jego wiotkim, wiekowo zaawansowanym ciałem coś kilka razy przyjemnie wstrząsnęło, wydobywając z niego westchnienie niewysłowionej wprost ulgi: „Ooooo…”, po czym ściągnęło je na podłogę, co ponownie przywróciło go rzeczywistości. Przez krótką chwilę leżał tam jeszcze bezwładnie, jakby się nad czymś zastanawiał, następnie wstał, zapiął rozporek i bez słowa skierował się w stronę wyjścia.

– Zapomniałeś o czymś – dobiegło go zanim doszedł do drzwi.

– Że coś mówiłaś? – Odwrócił się.

– Zapomniałeś dodać stówkę. Mówiłam ci, że nie zajmuję się działalnością charytatywną. Ale ty byłeś tak zajęty sobą, że pewnie tego nawet nie słyszałeś.

Zawrócił. Po drodze wyjął z portfela banknot o żądanym przez nią nominale, po czym bezsłownie i nie niepokojony już przez nic i nikogo, wyszedł z pomieszczenia, w którym spotkało go tyle fizycznej przyjemności, jakiej do tej pory nigdy i nigdzie nie doświadczył. Idąc, myślał: „No, nareszcie. Nareszcie! Na wszystko jest swój czas… Bożuniu kochany, jakież życie potrafi być jednak piękne!...”

Był szczęśliwy, zadowolony i dumny siebie. Był bardzo zadowolony i dumny, a słońce uśmiechało się do niego. Takie przynajmniej odnosił wrażenie.

24.01.1989 r.